

Maciej Rysiewicz

RZECZPOSPOLITA TRZECIA I PÓŁ

Część 5

22 III 2019 – 24 V 2019

Wiersz Roku Marka Czuku

Postanowiłem trochę odsapnąć od polskich kłopotów, które wywołują się do tablicy w moich felietonach na łamach „Kuriera Ostrowskiego”. I nie bardzo wiedziałem jak to zrobić, bo kolejne bieżące tematy pchały się drzwiami, oknami i jak zmory wyłaziły spod podłogi. Jak nie gender, to wybory w Gdańsku, jak nie bezprawie, to niesprawiedliwość, jak nie korupcja, to jakaś mafia partyjna od „zniszczyć cię” Grzegorza, czyhająca za węglem III RP. Uff, trzeba trochę spasować. Co tydzień muszę wyprowadzić prawy prosty, a powinien być celny i siarczasty. Wypadało nabrać trochę sił i poszukać dystansu do biegu zdarzeń.

Ale gong zapowiedział kolejną rundę, więc wstałem z narożnika dni i nocy i postanowiłem to starcie przeczekać, skryty za podwójną gardą. Jeśli będzie szczelna, to przetrwam w ringu – pomyślałem. Mimo wszystko przydałaby się jakaś pomoc. I ledwie ta myśl przemknęła przez moją głowę, to od przyjaciół ze Związku Pisarzy Katolickich nadeszło listem najpiękniejsze wsparcie. To był zwykły wiersz, a właściwie niezwykły wiersz i jak go przeczytałem, to już byłem pewien, że moja garda jest nie do przejścia. I postanowiłem ten utwór posłać Czytelnikom „Kuriera Ostrowskiego”. Może też potrzebują szczelnej gardy?

Sonet III

A jeśli Boga nie ma, cóż nam pozostanie?/Czy nasza ziemską drogą to tylko minuta/w falowaniu materii; ulica zasnutą/cieniem natrętnych myśli, że wszystko – mijanie?

A jeśli zgaśnie Słońce, nasze w duszy granie/przepadnie, umrze atom i diabeł Boruta/(co i tak jest legendą)? Wątpliwości nuta/brzmi jak *requiem* dla świata i podważa trwanie.

A jeśli Boga nie ma, kto wymyślił miłość,/serca nicmi powiązał, zaszczepił sumienie,/zliczył liczby, napisał prawa, które siłą/spajają molekuly, gwiazdy

i kamienie?/I kto by wtedy wątpił, gdyby nic nie było – w dzień i noc, dawcę życia i w samo wątpienie?

Cisza. Komentarza i interpretacji nie będzie. Każdy zostanie kowalem własnej wiary, wyobraźni i emocji. Tylko cisza...

A teraz kilka informacji faktograficznych. Autorem utworu jest Marek Czuku – poeta, krytyk literacki, publicysta. Absolwent Wydziału Fizyki i Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego. Marek Czuku wydał trzynaście zbiorów wierszy, m. in.: *Forever*, *Facet z szybą* i *Stany zjednoczone*. Ponadto jest autorem prozy, recenzji, felietonów, wywiadów i tekstów publicystycznych. Pisze też piosenki. Jego twórczość popularyzowały takie czasopisma jak „Twórczość”, „Nowe Książki”, „Odra”, „Więź” i „Arcana”. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz do *Academia Europaea Sarbieviana*. Wiersz Marka Czuku został wybrany „Wierszem Roku 2019” z okazji Światowego Dnia Poezji, ustanowionego przez UNESCO na 21 dzień marca.

Sonet III Marka Czuku został wybrany „Wierszem Roku 2019” przez jury w składzie Miłosz Kamil Manasterski (Przewodniczący Kapituły, pisarz, dziennikarz, Prezes Związku Pisarzy Katolickich), Tomasz Wybranowski (poeta i dziennikarz), Jerzy Mosoń (scenarzysta i publicysta), Zbigniew Waclaw Kowalewski (dokumentalista i pisarz) i Juliusz Erazm Bolek (poeta i laureat nagrody). Szczęść Boże!

[informacje dotyczące Marka Czuku i konkursu na „Wiersz Roku 2019” zawdzięczam Panu Juliuszowi Erazmowi Bolkowi. Bardzo dziękuję!]

LE, 22 marca 2019 r.

Ojczyzna bez łapówek

Kilka dni temu, nadrabiając stare zaległości w lekturze, zagłębiłem się we wspomnieniach wybitnego polskiego poety, dramatopisarza i satyryka Mariana Hemara. Urodzony we Lwowie w 1901 r., potem obywatel Warszawy od 1925 r., w końcu emigrant polityczny, Marian Hemar zmarł w Wielkiej Brytanii w 1972 r. Przyjaciół Tuwima, Lechonia i całej polskiej socjety artystycznej II RP (wszak to Hemar współtworzył najsłynniejszy polski kabaret międzywojnia *Qui Pro Quo*) był diamentem polskiej sceny i literatury. Wszystkich Czytelników zachęcam, co ja mówię, błagam, żeby sięgnęli po jego strofy napisane tak przed, jak i po II wojnie światowej. Cud i miód, a na dodatek taki żar miłości do Ojczyzny, że grzechem każdego polskiego serca byłoby nie ogrzać się przy hemarowym ognisku.

Ten wstęp był potrzebny, chociaż ja dzisiaj nie tylko o Marianie Hemarze, ale także o... łapownictwie. W jednym z emigracyjnych szkiców z książki

„Awantury w rodzinie”, twórca *Qui Pro Quo* opowiada jak to w 1963 r. do Londynu z gościnnymi występami przyjechał z PRL-u kabaret Wagabunda. Na początku lat 60. XX w. było już trochę odwilży i twórcom tej miary co Lidia Wysocka, Kazimierz Rudzki, Bogumił Kobiela czy Maria Koterbska słynny tow. Gomułka zezwalał na wyjazdy i występy przed wygnanymi z Polski rodakami. Hemarowi kabaret Wagabunda bardzo się podobał, ale, we wspominkach, wypowiedział też kilka słów sprzeciwu. Jedne z nich dotyczyły skeczu, zapowiedzianego przez Kazimierza Rudzkiego, jako skecz z kabaretu *Qui Pro Quo*. Hemar opisał to tak:

Był to dialog dwóch urzędników, którzy sobie wzajemnie dają grubą łapówkę za wzajemne przysługi. Dziwiłem się dlaczego podano ten skecz jako dawny, kwiprokwoski? Za moich czasów nie było go w naszym teatrze, Tuwim ani ja nie byliśmy jego autorami, co więcej był nie do pomyslenia. W Polsce przedwojennej nie było zagadnienia łapownictwa, nie było okazji czy powodu do takiej satyry.

Drogi Czytelniku! Zdębiałem, a jak zdębiałem, to przeczytałem te słowa jeszcze raz. Nie, nie dlatego, że Rudzki błędnie przypisał jakiś tekst Hemarowi, którego Hemar „nie popełnił”. Zdębiałem, bo przeczytałem zeznanie świadka naocznego obywatela Mariana Hemara, że w II RP nie było zagadnienia łapownictwa!!! I że w związku z tym nie było okazji do tworzenia takiej satyry.

Mój Boże! Mam 60 lat z czego 30 lat męczyłem się w PRL-u a teraz stuknęło mi kolejne 30 wiosen w ciągle jeszcze niezbyt wolnej Polsce, zwanej przez niektórych III RP, a przez niektórych PRL-bis. Łapownictwo, to był i jest chleb powszedni mojej Ojczyzny od kiedy sięgam pamięcią. Od Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” poczynając, a na rozmowach u „Sowy i Przyjaciół” kończąc. Od naczelnika Gminy gdzieś w Bobowie, do minister Małgorzaty Bieńkowskiej, która mówiła, że za 6 tysięcy zł, to pracuje albo złodziej, albo idiota...

Przed oświadczeniem Hemara myślałem, że łapownictwo jest tak samo stare, jak najstarszy zawód świata. I ciągle w głowie mi się nie chce zmieścić, że Polska międzywojnia nie znała korupcyjnego łapownictwa. Nie sposób nie wierzyć Hemarowi, który przecież, jako rasowy satyryk, kpił ze wszystkiego; z władzy także. I ten satyryk powiedział, że łapownictwa w II RP nie było. Przecież to w istocie wspaniała i piękna wiadomość historyczna. Nieprawdaż? I westchnąłem, rozglądając się wokoło:

**Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba/Podnoszą z ziemi przez uszanowanie/
Dla darów nieba/Tęskno mi, Panie.**

Odszkodowanie za strzał w potylicę

Dochodzą słuchy, że „Parlamentarny Zespół ds. Oszacowania Wysokości Odszkodowań Należnych Polsce od Niemiec za Szkody Wyrządzone w trakcie II Wojny Światowej”, kończy swoje prace. Podobno już niedługo wystawimy Niemcom za II wojnę światową rachunek na kwotę ok. 900 mld. USD. Lepiej późno niż wcale! Oburzenie wielkie powstanie nad Renem, zwłaszcza że młodzi, wykształceni i zjednoczeni Niemcy próbują światu wciskać dzisiaj ciemnotę, że ich matki i ich ojcowie rozpętali II wojnę światową, bo nad Wisłą jakiś barbarzyński naród zaczął budować obozy i piece krematoryjne dla Żydów. Temu bestialstwu trzeba było położyć kres i dlatego ich ojczulek Ribbentrop spotkał się 23 sierpnia 1939 r. z niejakim Wiaczesławem Mołotowem, w obecności samego Józefa Stalina, i uradzili, co uradzili.

A propos Wiaczesława Mołotowa i jego czerwonych kamratów. Bo jak już towarzysz Wiaczesław wyściskał się z panem Joachimem, to niosąca na bagnietach wolność, miłość i braterstwo bohaterska Armia Czerwona zajęła 17 września 1939 r. ponad 52% (200 tys. km²) powierzchni II RP. Radość spłynęła wielka na 14 milionów obywateli faszystowskiego kraju, bo na dzień dobry 1,5 miliona Kresowych (ostrożnie licząc) zgłosiło się do transportów, żeby wreszcie na Kołymę albo inną Syberię wyjechać i wesprzeć budowę najpiękniejszego ustroju w dziejach świata. I życie gotowi byli już oddać za ten ustrój. Mało tego, setki tysięcy tych obywateli zaczęło oblegać więzienia i obozy, pieścizotliwie łagromi tam zwane, bo dostrzegli ogrom swoich grzechów klasowych i dobrowolnej karze pragnęli się poddać. A niektórzy nawet potylicę nadstawiali, bo najmilsza zdawała im się myśl o sprawiedliwości dziejowej, którą wreszcie wymierzy im kula z niemieckiego Walthera (to był prezent od wujka Hitlera), który dzierżył w dłoni surowy, ale przecież sprawiedliwy enkawudzista w Katyniu, Starobielsku i Ostaszkowie. Eh, łza się po prostu w oku kręci!

A potem przyszedł rok 1945 i było jeszcze piękniej. Mołodcy z Krasnej Armii doszli do wniosku, że te 200 tys. km² z 1939 r., to była tylko przystawka do dania głównego. W tym przekonaniu utwierdziła ich Rada Komisarzy Ludowych w Moskwie, która 10 stycznia 1945 r. wydała rozporządzenie, że od tej chwili wszystko, co krasnoarmiejcy napotkają na swojej drodze do (i z) Berlina należy do nich: ludzie, ziemia, bogactwa naturalne, domy, bydło, zboże, dzieła sztuki, samochody, pociągi, fabryki i inne mało wartościowe rzeczy ruchome i nieruchome. A lud musiał witać wyzwolicieli chlebem i samogonem, a kobiet nie ukrywał przed pożądlwym wzrokiem gości ze wschodu. Przecież każdemu coś się od życia należało. Zresztą, przed przyjaciółmi z czerwona gwiazdą na czapce i tak niewiele dało się ukryć.

Dlatego tak sobie pomyślałem, że nie wolno czekać i należy powołać „Parlamentarny Zespół ds. Oszacowania Wysokości Odszkodowań Należnych Polsce od Rosji za Szkody Wyrządzone w trakcie i po II Wojnie Światowej”. I powołanie tego Zespołu należałoby zacząć z przytupem. Na przykład rozebrać tzw. Pałac Kultury i Nauki w Warszawie i odesłać do Moskwy. Taki gest dobrej woli powinien zmiękczyć serca potomków towarzysza Józefa i przychylnie nastawić ich do wypłacenia nam reparacji wojennych i powojennych. Jestem pewien, że jak na Plac Czerwony dotrze warszawski pomnik komunizmu, to szczątki TU-154M nie będą długo zalegać w Smoleńsku. Bo honor czekisty ważniejszy nawet od flaszki wódki!

LE, 5 kwietnia 2019 r.

Światło

Święty Jan Paweł II od 1979 do 2005 r. 26 razy stawał w oknach watykańskiej Bazyliki Świętego Piotra, żeby w niedzielny poranek wielkanocny wygłosić do wiernych orędzie „Urbi et Orbi” („Miastu i światu”). W pamiętnym 2005 r. nasz Papież, dotknięty już śmiertelną niemocą, nie był w stanie osobiście pobłogosławić „Miastu i Światu”. Orędzie zostało odczytane wiernym przez kardynała Angelo Sodano. Jan Paweł II siedział milcząco w oknie swojego apartamentu w Pałacu Apostolskim i śledził z kartki tekst orędzia, jakby chciał sprawdzić czy kardynał Sodano literalnie wypełnia jedną z ostatnich Jego prośb. Po raz pierwszy w historii pontyfikatu papież nie złożył życzeń wiernym w kilkudziesięciu językach świata. Szczególnie dla nas Polaków, to był zły znak. Może nawet najgorszy z najgorszych. Wieść hiobowa. Bo radosne święto Zmartwychwstania Pańskiego w Wielką Niedzielę 27 marca 2005 r. nieuchronnie zapowiadało odejście naszego Ojca Świętego do Domu Pana.

W pierwszą Wielką Niedzielę po wyborze na Stolicę Piotrową Jan Paweł II, błogosławiąc „Urbi et Orbo”, 15. dnia kwietnia 1979 r., zwrócił się do Polaków:

Drodzy Rodacy! Pozwólcie, że odwołam się do słów tej staropolskiej pieśni wielkanocnej: „Chrystus zmartwychwstan jest, nam za przykład dan jest, iż mamy zmartwychpowstać, z Panem Bogiem królować, Alleluja!” Poprzez te słowa łączę się z całym Narodem i Kościołem w Polsce. Życzę wam tej wiary, nadziei i miłości, poprzez które zmartwychwstanie Chrystusa owocuje w duszach ludzi - i w dziejach narodów. Niech ono będzie zawsze nam mocą! Dla wszystkich, którzy nas słuchają. Surrexit Dominus vere, Alleluja!

I od tej chwili niezliczoną liczbę razy Ojciec Święty łączył się, gdziekolwiek rzuciła Go pasterska posługa, z całym Narodem i Kościołem w Polsce. Lata mijają od śmierci papieża Polaka i coraz głośniejszy chciałoby się mówić, sięgając

po strofy poetyckie Mistrza z Czarnolasu: „wielkieś nam uczynił pustki w domu naszym, Ojczyce Święty, tym zniknięciem swoim”!

Może byłeś Ojczyce Święty zanadto wyrozumiały i nie dość srogi. Bo zamiast dzisiaj wypełniać tę pustkę słowami Twoich homilii, dajemy się terroryzować podszeptom Złego.

Tu nie trzeba tęgiej głowy, żeby dostrzec rozmiary tego terroru „w domu naszym”; wystarczy spojrzeć na tych, którzy używają dzieci jako zakładników w sporze o zarobki. Tu nie trzeba tęgiej głowy, żeby dostrzec rozmiary tego terroru „w domu naszym”; wystarczy posłuchać tych, którzy lżą pamięć po smoleńskiej tragedii. Tu nie trzeba tęgiej głowy, żeby dostrzec rozmiary tego terroru „w domu naszym”; wystarczy ogarnąć wzrokiem morze tęczowego nihilizmu, które nas podtapia.

W orędziu wielkanocnym "Urbi et Orbi", które Jan Paweł II wygłosił 3 kwietnia 1994 r., padły takie słowa:

W ten wielkanocny poranek tak bardzo chcielibyśmy, by każdy mężczyzna i każda kobieta przyjęli światło Chrystusa, które przenika ciemność i zapowiada triumf życia nad śmiercią! Bracia i siostry na całej ziemi, błogosławcie razem z nami „ten dzień, który Pan uczynił”. Chrystus zmartwychwstał, alleluja!

W radosny czas Zmartwychwstania Pańskiego przyjmijmy światło Chrystusa i nie zapominajmy o nauczaniu Jana Pawła II; czego Czytelnikom „Kuriera Ostrowskiego” i sobie życzę. Ojczyzna i Rodzina są zawsze w potrzebie! Dlatego niezmiennie i każdego dnia, gdy świt, a tym bardziej, gdy osacza nas zmrok, potrzeba nam tej szczególnej **wiary, nadziei i miłości**, którymi Święty Jan Paweł II uparcie zmieniał „oblicze tej ziemi”.

LE, 13 kwietnia 2019 r.

Łaska pańska z korupcją w tle

Czytam na stronie PREZYDENT.PL: **Zgodnie z art. 139 Konstytucji Prezydent RP stosuje prawo łaski. I czytam dalej: Akt łaski stosowany jest (..) gdy skutki wyroku są nadmiernie dolegliwe, a ich represyjny charakter (...) przekracza poziom zamierzony przez sąd, gdy wymagają tego względy humanitaryzmu i sprawiedliwości, a nie można uczynić im zadość w drodze postępowania sądowego oraz gdy występują wyjątkowe, nieznane dotąd wydarzenia.**

Sięgam pamięcią wstecz i myślę; a więc to dlatego prezydent Wałęsa ułaskawił szefa mafii pruszkowskiej Andrzeja Zielińskiego, pseud. Słowik. Boss

Pruszkowa siedział sobie w więzieniu, ale było mu tam trochę duszno, dlatego dostał przepustkę i z tej przepustki już nie wrócił za kraty. Do akcji wkroczył „Bolek” – hokus-pokus – i ułaskawił „Słowika”, który w tym czasie wylegiwał się już na hiszpańskich plażach. „Słowik” potem napisał, że wręczył komuś w Kancelarii „Bolka” 150 tys. dolarów tytułem zadośćuczynienia za trud w złożeniu podpisu pod aktem łaski. Może! Jeśli tak, to wręczenie tej drobnej kwoty mogło stanowić wyjątkowe wydarzenie, wspomagające prezydencki humanitaryzm.

Ułaskawienie gangstera „Słowika” już niedługo potem dodało skrzydeł prezydentowi Kwaśniewskiemu. I w 1999 r, akt łaski został wydany niejakiemu Piotrowi Filipczyńskiemu, skazanemu w 1971 r. na 25 lat za zamordowanie staruszki na tle rabunkowym. Przypadkowym zrzędzeniem losu skazaniec Filipczyński też dostał przepustkę w odbywaniu kary i nie niepokojony przez służby, w 1979 r., wyjechał do Szwajcarii. Tam zmienił nazwisko na Peter Vogel (nadal nie niepokojony przez służby) i... kariera w szwajcarskich bankach stała otworem. Proste jak konstrukcja cepa! Potem zaczęto Vogla pomawiać, że był „kasjerem lewicy”, tzn. że pomagał legalizować jakieś dudki, zajmowane przez członków czerwonej wspólnoty, spod znaku PZPR i WSI, ale to były oczywiście tylko bezpodstawne pomówienia. Wyrok z 1971 r. trochę doskwierał Voglowi, no i przyszedł prezydent Kwaśniewski i posprzątał bałagan po wyroku z 1971 r.

Akcja „ułaskawić kasjera lewicy” rozwinęła humanitarne uczucia w prezydencie „Alku”. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności w 2003 r. wyszła na jaw tzw. afera starachowicka. I „represyjny wyrok” sądu, skazujący wiceministra spraw wewnętrznych Zbigniewa Sobotkę (3,5 r. pozbawienia wolności), prezydent „Alek”, a kolega Sobotki, chyba nie tylko do wypitki, zmniejszył do roku w zawieszeniu na dwa lata. No i zastępca „pierwszego psa”, czyli „wice-msw”, za współpracę z gangsterami nie poszedł za kraty.

Czy humanitarne dylematy wstrząsają dzisiaj prezydentem Andrzejem Dudą? Wszak wniosek o ułaskawienie złożył Marek Falenta, skazany w tzw. aferze podsłuchowej na 2,5 r. więzienia. Ten Falenta, to „cienias”; staruszki nie zabił, chłopców z Pruszkowa albo ze Starachowic do złości nie namawiał... On tylko ludzi z pierwszych stron gazet nagrywał i przy okazji wyszło na jaw, że nasi przywódcy: Bieńkowska, Belka, Sienkiewicz, Wojtunik, Graś i jeszcze tuzin innych, to frymarczeniem Polski byli zajęci a nie republikańskimi obowiązkami. Michnik też nagrywał Rywina i żaden sąd mu złego słowa nie powiedział. Ale stawiam dolary przeciwko orzechom, że aktu łaski tym razem nie będzie!

Epilog. Prezydent „Bolek” wydał 3454 aktów łaski a prezydent „Alek” aż 4288! Cóż to za kraj, w którym zapada aż tyle wyroków niesprawiedliwych i

represyjnych, że prezydent musi codziennie wystawiać jeden akt łaski, a co drugi dzień nawet dwa?

LE, 19 kwietnia 2019 r.

Tęczowe szaty Jałty

Ukrainka Lyudmyla Kozlovska, prezes Fundacji Otwarty Dialog, w sierpniu 2018 roku została wpisana przez Polskę na listę osób do wydalenia ze strefy Schengen. Początkowo wydawało się, że deportacja Kozlovskiej z lotniska w Brukseli na Ukrainę okaże się skuteczna. Polskie służby uznały Kozlovską za *persona non grata* nie tylko w Polsce i taka negatywna opinia powinna była obowiązywać w całej UE. Wkrótce okazało się, że unijne zobowiązania traktatowe nic nie znaczą. Kozlovska zaczęła swobodnie podróżować po Europie na podstawie specjalnych wiz wydawanych jej przez służby konsularne Niemiec, Belgii a nawet Wielkiej Brytanii. Mocarnych ma protektorów pani Lyudmyla; na wschodzie i na zachodzie. I pani Lyudmyla nie ukrywa tych protektorów. Selfie z Sorosem, proszę bardzo, z Timmermansem – dlaczego nie? Protektorzy nie wstydzą się Kozlovskiej. Ale właściwie dlaczego mieliby się jej wstydzić. Taki na przykład Guy Verhofstadt przecież już dawno zrozumiał gdzie są konfitury, bo będąc członkiem zarządu firmy Exmar, co najmniej od 2013 r., pozostaje w „zażyłych“ kontaktach z rosyjskim Gazpromem. To nie Kozlovska wymyśliła Sorosa, Timmermansa i Verhofstadta. To raczej oni ją wymyślili a odpowiedź przyszła ze wschodu.

Politycy starej Europy od lat kolaborowali z Rosją, występującą na arenie międzynarodowej w różnych przebraniach totalitaryzmu. Nie przeszkadzała żelazna kurtyna, nie przeszkadzała pierestrojka a ostatnio aneksja Krymu i wojna na Ukrainie. Szlak współpracy wytyczony na konferencji jałtańskiej pozostaje nadal przejezdny i swobodnie uczęszczany. Czy widmo Jałty zniknie kiedykolwiek z europejskiego krajobrazu? Czy Europa ma jakiegokolwiek szanse na unicestwienie tego upiora w perspektywie najbliższych kilku dekad?

O ile konferencja w Jałcie stanowiła zacyzn dla ekonomicznego dobrobytu starej Europy, to w efekcie syta, liberalna dyktatura europejskich „demokratów“ sprowadziła na kontynent klęskę demograficzną i inwazję, obcego kulturowo, żywiołu etnicznego. A chciwości ekonomicznej liberalnych elit, reprezentowanych przez ludzi pokroju Verhofstadta, czy byłego kanclerza Schroedera, nie da się w żaden sposób okiełznać. Za późno! Dlatego jeszcze niejeden Nord Stream zostanie przerzucony przez Bałtyk. Rozpaczliwe głosy z Polski i Węgier, nie tylko w sprawie katastrofy multikulti i wędrowni muzułmańskich ludów, nie zmuszą europejskiego „Pokolenia '68“ do korekty

politycznej i kulturowej strategii. Właśnie po to pojawiła się na firmamencie „walki o prawa człowieka i obywatela” Lyudmyła Kozlovska. I przy pomocy brudnych pieniędzy transferowanych przez Fundację Otwarty Dialog z determinacją Róży Luksemburg będzie podsycać neomarksistowskie postawy.

Rewolucja musi trwać i rewolucja musi wypalić gorącym żelazem nie tylko katedrę Notre Dame. Budujemy nowy wspaniały tęczy świat!

Europa nie wyciągnęła lekcji z historii XX wieku, bo w ogóle nie miała takiego zamiaru. W istocie nikt nie uchylił postanowień konferencji jałtańskiej z lutego 1945 roku a wbrew pozorom w twórczy sposób rozwinięto zdradziecki kompromis możliwych tego świata. Trochę przegrupowano tylko szyki w stronę zjednoczonych Niemiec... i UE, która coraz bardziej przypomina ZSRR.

Jedna sprawa wymyka się spod kontroli. Napływ imigrantów. Bo nie jestem pewny czy muzulmanom z tęczą będzie do twarzy. I zabawa w gender, „tolerancję” i „różnorodność” skończy się – pod zimną poświatą półksiężyca – (w najlepszym razie) płaczem i zgrzytaniem zębów!

LE, 25 kwietnia 2019 r.

Marsz po suwerenność

Ulicami Warszawy, w sile kilku tysięcy patriotów, przeszedł w zeszłym tygodniu „Marsz Suwerenności”. Marsz zorganizowały prawicowe ugrupowania, występujące pod szyldem „Konfederacja – Korwin, Braun, Liroy, Narodowcy”. Marsz przeszedł w spokoju, mimo kilku prowokacji zorganizowanych przez lewicowych działaczy z tzw. Antify. Antifowcy, ustrojeni w niebieskie kotyliony z napisem „Warszawa dziękuje UE”, na pytania dziennikarzy Mediów Narodowych niezmiennie i ślepo opowiadali się za koncepcją Stanów Zjednoczonych Europy, która musi odstawić do lamusa historii europejskie państwa narodowe. Prawdziwym „hitem internetu” stała się wypowiedź do kamery jednego z lewicowych krzykaczy, który na pytanie, za co stolica ma dziękować UE, odpowiedział, że „za wszystko”. Bezrefleksyjną siłą takiego argumentu należy właściwie uznać za wprost groteskową. Lewicowi Europejczycy, a uważający się za naprawdę oświeconych, mogliby trochę lepiej przygotować się do dyskusji na temat „za” czy „przeciw” UE.

Jak wiadomo prezydent Trzaskowski próbował odmówić Konfederacji prawa do zorganizowania „Marszu Suwerenności”. Nie pierwszy już raz platformerskie władze stolicy, próbują sabotować organizację narodowych zgromadzeń. Afirmujący wartości demokracji liberalnej prezydent Trzaskowski nie rozumie, że hasła wolności i równości dotyczą wszystkich obywateli, także tych, którzy liberalnych wartości nie podzielają. Trzaskowski nie rozumie, że prezydencki mandat, nie daje mu władzy absolutnej nad poglądami politycznymi

mieszkańców miasta. Zakaz dla „Marszu Suwerenności”, który wydał Ratusz, został na szczęście uchylony przez sąd. Jednak nie tylko niesmak pozostał. Bo legalnie działającym na terenie RP organizacjom i stowarzyszeniom narodowym i wolnościowym po raz kolejny przyklejono etykietę faszystów. Pokrzykiwanie, że „Warszawa musi być wolna od faszyzmu” jest niedorzeczne; a mówiąc kolokwialnie, zupełnie „od czapy”. Jednak pytanie po co budzić upiory, których w Polsce nie ma, warto zadać. A odpowiedź jest tylko jedna. Konfederację i jej sympatyków trzeba zepchnąć do „brunatnego” narożnika i tam okładać ciosami lewicowego „postępu”. A może Trzaskowski powinien poszukać faszystów we własnych szeregach!?

Konfederaci „czarny pijar” mają gratis nie tylko z lewackiej strony polskiej sceny politycznej. Także media obozu władzy nie szczędzą Konfederacji licznych uszczypliwości. Od, w zamiarze dowcipnych a krótkich wspominek, w popularnym programie „W tyle wizji”, media, wspierające obóz tzw. Zjednoczonej Prawicy, przeszły do frontalnego ataku. Prym wiodą publikatory braci Karnowskich („wSieci”) i Tomasza Sakiewicza („Gazeta Polska”). Od zjadliwej „krytyki” nie stroni i TV Republika, i główne programy opinii TVP. Koronnymi argumentami przeciwko Konfederacji są rzekome powiązania działaczy ruchów wolnościowych i narodowych z rosyjską agenturą (ten „patent” wraca jak bumerang). Najmocniej zaatakowano jednego z liderów Konfederacji Krzysztofa Bosaka z Ruchu Narodowego, odsądzając go od czci i wiary z powodu brata, który podobno prowadzi interesy z Rosjanami. Jakub Kulesza z Koła Poselskiego „Konfederacja”, podczas przemówienia na „Marszu Suwerenności”, trafnie zauważył, że aluzje pod adresem Krzysztofa Bosaka brzmią groteskowo w telewizji zarządzanej przez człowieka, którego brat jest zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”.

Psy szczekają a karawana, o przepraszam, Konfederacja idzie dalej. A sondaże coraz lepsze.

LE, 3 maja 2019 r.

„Po mnie choćby potop”!

O aferze na Uniwersytecie Warszawskim w dniu obchodów Święta Konstytucji 3 Maja napisano prawie wszystko. Oszalały lewak Leszek Jażdżewski bezkarnie lżył wówczas polski Kościół katolicki. Już chyba tylko najpożyteczniejsi idioci, a właściwie debile, mogą uważać, że ten łajdacki spektakl nie był rozpisany na głosy przez Donalda Tuska. Komentatorzy polityczni zachodzą w głowę; jak to możliwe, że na kilka tygodni przed wyborami zostaje wyprowadzony tak brutalny cios wymierzony w imponderabilia polskiej wspólnoty narodowej? Ten cios, z punktu widzenia kampanii wyborczej Koalicji Europejskiej (KE), był przecież najzwyczajszym strzałem w stopę. Takie lekcje KE zdążyła już raz

przećwiczyć. Przypomnijmy sobie jaki efekt (nie tylko sondażowy) wywołały niedawno słowa wiceprezydenta Warszawy Pawła Rabej:

Najpierw wprowadźmy związki partnerskie, potem równość małżeńską, a na koniec przyjdzie czas na adopcję dzieci.

I rozpętała się burza. A po takiej burzy wiadomo było, że słowa Jażdżewskiego znowu obudzą wściekłość. Nie tylko na prawicy. Paweł Rabej do dzisiaj siedzi gdzieś ukryty i nosa nie wyściubia, żeby nieobecnością jakoś „obłaskawić” szybujące w dół sondaże KE i nie drażnić sodomią Polaków. Nie inaczej będzie teraz. Maski opadły. Katolicy wywołani do tablicy, a nazwani świniami taplającymi się w błocie, zjawią się przy urnach wyborczych 26 maja i wypowiedzą się, co myślą na temat takich obelg.

Donald Tusk wiele razy wykazywał się łotrostwem najwyższej próby. Trudno jednak uznawać go za idiotę. Jeśli zgodził się na treść wystąpienia Jażdżewskiego, a mając w pamięci *casus* Rabeja, nie odciął się od tych plugastw, choćby idąc przez ocean hipokryzji, to znaczy, że przyświecał mu jasny cel.

Wkraczam teraz na terytorium „political fiction”, ale to przecież zbójce prawo felietonisty. Dlatego zacznę od tego, że karierę polityczną Tuska nad Wisłą uważam za zamkniętą. Tusk nie wróci do Polski na białym rumaku i nie stanie w prezydenckie szranki wyborcze z Andrzejem Dudą. Widma przeszłości (Smoleńsk, OFE, ośmiorniczki, etc.) chwyciły go już dawno za gardło i spać nie dają. Można domniemywać, że tylko magdalenkowe *status quo* nie zaprowadziło jeszcze „krula Europy” na ławę oskarżonych. Haki na Tuska mają wszyscy: BND, GRU, CIA i chłopcy z WSI. A Jarosław Kaczyński kilka asów w rękawie. Tusk jest bez szans! Pozostało mu tylko bezsilnie ujadać, zwłaszcza że wikt i opierunek nie tylko ciocia Angela zabezpieczyła mu na ekskluzywnym poziomie.

Wystąpienie Tusk–Jażdżewski na Uniwersytecie, to emanacja najniższych pobudek, którymi dzisiaj kieruje się „krul Europy”, odstawiony na boczny tor polskiej współczesności. Z jednej strony chce mścić się za porażkę polityczną na Jarosławie Kaczyńskim (i jego wyborcach), który od lat był jego głównym politycznym adwersarzem, rzucając na prawo i lewo obelgi o „katolickich świniach”, a z drugiej strony złośliwie pogrąża swoich kamratów z KE, wpisując się w maksymę z czasów Madame de Pompadour: „po nas choćby i potop”.

Tak, Tusk mówi Schetynie, wiedząc, że nie wróci na białym rumaku także na łono PO, że „po mnie choćby i potop”. Bo rynsztokowy atak Tuska na Kościół katolicki topi szanse KE na dobry wynik w nadchodzących wyborach. Tusk przestał być politykiem *sensu stricto*; to już tylko obłąkany antypolskimi

fobiami frustrat i błazen. Strącony z piedestału będzie jeszcze jakiś czas wzniecał pożary nienawiści, jak ten z 3 maja 2019 r. na Uniwersytecie Warszawskim.

LE, 10 maja 2019 r.

Ambasadoressa 447

Georgette Mosbacher objęła placówkę dyplomatyczną USA w Warszawie w glorii przyjaciółki Donalda Trumpa. Fiu, fiu, gwizdał sobie pod nosem niejednen zwolennik klubów „Gazety Polskiej” a potem pokrzykiwał: jeśli pierwszy pasażer Air Force 1 zrzuca nam tak zaufanego spadochroniarza, to już bez obaw możemy spoglądać w przyszłość. Przyjaciółka, największego przyjaciela Polski, rękę na pulsie trzymać będzie i każdy wrogi gest, przeciwko Polakom skierowany, raportuje natychmiast do Waszyngtonu. A wtedy nasz wielki brat, z za wielkiej wody, tupnie nogą. A na odgłos tupnięcia „wszelkie szubrawce i kanalie”, czyhające na granicach RP, rozpierzną się w popłochu.

Wyznawcom „prawej i sprawiedliwej” teorii dziejów humory trochę psuło oświadczenie, jeszcze wówczas kandydatki na ambasadoressę, wypowiedziane podczas przesłuchania przez komisję spraw zagranicznych Senatu USA, że polska ustawa o IPN wywołała falę antysemityzmu w Europie Wschodniej. Amerykanów takie brednie w ogóle nie zdziwiły i przyjaciółka Trumpa wylądowała na Okęciu. Baniałuki Georgette o skutkach ustawy o IPN rozniosły się po Polsce, ale wyborcy Prezesa szeptali po kątach, że nie zna się jeszcze bidulka na sprawach polskich, ale jak przybędzie nad Wisłę, to w mig rozkmini „kto tutaj szczuje i co jest grane”.

Tylko, że jak Georgette przebrała się już w nowe szaty i otworzyła nad Wisłą Fort Mosbacher, to było już tylko jeszcze gorzej. Najpierw zaczęła podpowiadać polskim władzom jak powinna brzmieć ustawa podatkowa, żeby amerykańskiej korporacji UBER, której tu i tam w USA wstrzymano wydawanie licencji, włos z głowy nie spadł. Potem zatroskała się o zagrożoną w Polsce wolność słowa, a właściwie stanęła w obronie „szykanowanej”, z powodu (między innymi) słynnego reportażu o imieninach Hitlera, stacji telewizyjnej TVN, założonej pewnego razu przez agenturę peerelowskich służb specjalnych a dzisiaj nadzorowanej przez niejakiego Davida Zaslava, obywatela Stanów Zjednoczonych, ale – wicie, rozumiecie – z pierwszorzędnymi korzeniami. Słowa Georgette Mosbacher skierowane do „Dear Minister Moraweicki”:

Piszę, by wyrazić moje (...) zaniepokojenie (...) oskarżeniami wysuwanymi przez członków polskiego rządu przeciwko dziennikarzom i menedżmentowi TVN oraz Discovery (...) w odniesieniu do materiału śledczego (...) wyemitowanego (...) w TVN24, [a] dotyczącego aktywności neonazistów w Polsce (...)

wprawiły elity rządowe (i nie tylko) w stan podwyższonej konsternacji. Po takich grach i zabawach „dyplomatycznych” selfie ambasadoressy z prezydentem wszystkich ubeków Bolkiem i „przyjmowaną na audiencjach” przez papieża Franciszka Joanną Scheuring-Wielgus, które obiegiły światowe media, to był już tylko „tęczowy” kwiatek do futra z amerykańskich bobrów, które niechybnie wisi w garderobie Fortu Mosbacher.

„Nasza” ambasadoressa nie stroni także od pilnowania na polskiej ziemi amerykańskiego „prawa” do ograbienia Polski, żeby podreperować podupadłe finanse przemysłu Holocaustu. Ustawa JUST 447, stała się jej oczkiem w głowie już od czasów słynnych ponagleń Mike’a Pompeo przy okazji antyirańskiej hucpy w Warszawie. Kilka dni temu Mosbacher dała temu mocny wyraz na Twitterze:

Informacje przekazywane w kampanii Konfederacji [na temat ustawy 447 – przyp. M.R.] są rażąco nieprawdziwe. Mowa nienawiści przedstawicieli skrajnych organizacji nie zakłóci relacji między sojusznikami.

Panie Boże, strzeż mnie przed przyjaciółmi, z nieprzyjaciółmi sam dam sobie radę!

LE, 17 maja 2019 r.

Bierni, ale aktywni

Kilka dni temu dziennikarka zapytała pewnego obywatela, w telewizyjnej sondzie ulicznej, jaka jest różnica pomiędzy czynnym i biernym prawem wyborczym. Starszy pan, odpoczywający na ławce, a zagadnięty zniecka o tak podstawowe obywatelskie przywileje, odpowiedział, że z czynnym prawem wyborczym mamy do czynienia wtedy, gdy bierzemy udział w wyborach a z biernym, gdy te wybory (jak to określił) „olewamy”, tak jak on, i zostajemy w domu, bo mamy cały ten obywatelski spektakl w nosie a nawet w „głębokim poważaniu”.

Czy obywatel dworował sobie z dziennikarki, czy mówił serio, nie sposób dociec. Jednak ta wypowiedź ujawniła jeden z największych paradoksów naszej doczesności w tzw. demokratycznym państwie. Bo jak okiem sięgnąć, ci bierni obywatele dyktują tempo naszym czasom i decydują niekiedy o losach świata i jednostek. Można zatem powiedzieć, że bierność w życiu publicznym wyznacza poziom najwyższej społecznej aktywności.

Jeśli odchodzimy w pośpiechu przed siebie, bo nie chcemy mieszać się w uliczną awanturę, podczas której ktoś kogoś okłada pięściami, to przecież takie bierne przyzwolenie na przemoc może mieć skutki i tragiczne, i zmieniające rzeczywistość na zawsze. Nie udzielając pomocy ofierze aktywnie stanęliśmy po

stronie agresora. Nasza bierność nie jest zatem żadną biernością, tylko najaktywniejszą formą odmowy uczestnictwa, na przykład w dziele okazania humanitarnej pomocy. Staaliśmy po stronie zła, a przeciwko dobru. I to był przejaw naszej aktywności czy tego chcemy, czy nie chcemy.

Wróćmy do „biernego prawa wyborczego”, które afirmował starszy pan, indagowany przez natrętną dziennikarkę telewizyjną. Przecież o wynikach wyborów w Polsce (i nie tylko) decydują w dużym stopniu nieobecni przy urnach obywatele. Czasami liczba nieobecnych przekracza znacznie 50% społeczeństwa. Biernie prawo wyborcze, w rozumieniu naszego telewizyjnego bohatera, z tego punktu widzenia, jawi się zatem jako najaktywniejsza forma kreowania rzeczywistości społecznej i politycznej. Bo gdyby tak wszyscy uprawnieni do głosowania stawili się przed obliczem komisji wyborczych, to wynik głosowania byłby zapewne trochę inny i inni ludzie zasiadaliby w samorządach, ławach poselskich a nawet w pałacu przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Być może dominowałyby w publicznym dyskursie także nieco inne poglądy i programy polityczne.

Bierność w życiu publicznym to mrzonka. Bo w prawo do bierności w każdym przypadku wpisana jest aktywna decyzja, dotycząca podejmowanych przez nas wyborów. I z tego punktu widzenia bierność w naszym życiu w ogóle nie istnieje. Jeśli do wyborów nie poszła, na przykład ponad połowa uprawnionych do głosowania, to może oznaczać, że rządy w państwie sprawuje aktywna milcząca większość. Ta większość złowieszczo i jakże skutecznie rozdaje polityczne karty!

Brytyjski filozof i matematyk Bertrand Russell powiedział przed laty: „Jeśli pięćdziesiąt milionów ludzi mówi głupstwa, nie przestają one być głupstwami”.

Tak samo jest z biernością. Jeśli ktoś uważa, że nie chce się mieszać do życia publicznego, to wcale nie oznacza, że przestał mieć na to życie jakikolwiek wpływ. Otwartą kwestią dla „aktywnych inaczej” pozostaje pytanie o republikańskie korzyści płynące z takiej postawy w kontekście, na przykład przykazań dekalogu. Bo przy odrobinie dobrej woli właśnie w tym zwierciadle możemy się obiektywnie przejrzeć od stóp do głów! I zawsze z pożytkiem dla wspólnego dobra.

Maciej Rysiewicz

RZECZPOSPOLITA TRZECIA I PÓŁ

Część 6

31 V 2019 – 9 VIII 2019

Warszawa w objęciach Stalina

Włodzimierz Cimoszewicz zdobył w Warszawie w wyborach do Parlamentu Europejskiego 219 tysięcy głosów. Fiu, fiu, niezły wynik, a przecież przeszłość Włodzimierza Cimoszewicza nie jest owiana mgłą tajemnicy. Towarzysz Włodzimierz, syn płk. Mariana Cimoszewicza, kata żołnierzy AK i funkcjonariusza osławionej Informacji Wojskowej, członek PZPR od 1971 r. aż do chwili wyprowadzenia sztandaru i tajny współpracownik SB o pseudonimie „Carex”, zasiądzie w europejskich ławach ku ucieście eurokomunistycznej gawiedzi.

Włodzimierz Cimoszewicz szedł w Warszawie jak po swoje. W stolicy Polski, która z uporem godnym lepszej sprawy broniła i broni reliktyw komunistycznej przeszłości, latami otaczając opieką pomniki wdzięczności żołnierzom armii sowieckiej i do dzisiaj honorując komunistycznych zdrajców, jako patronów warszawskich ulic, zawsze aktywiści spod znaku czerwonej gwiazdy mogą liczyć na setki tysięcy głosów. Nad miastem ciągle góruje bolszewicki bucior Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina i nawet nieśmiałe propozycje, żeby wreszcie uwolnić stolicę od tego symbolu sowieckiego zniewolenia, wywołują tutaj gniewne pomruki oburzenia wśród komunistycznych kombatantów i ich resortowych dzieci. Do tej czerwonej hałastry, po latach, już w tzw. III RP, dołączyły „słoiki” i „korpo-ludki”, zjechawszy się do miasta, w którym „Hitler i Stalin zrobili co swoje” i uznały ten fakt za okazję do awansu ekonomicznego.

A skoro awans, to trzeba popierać jedyną prawdziwie europejską siłę na polskiej scenie politycznej. Siłę, która dzień kontraktu podpisanego z komunistami 4 czerwca 1989 r. uznaje za swój mit założycielski. Ten alians sił lewicowego postępu i tęczowej tolerancji trzyma się w Warszawie wyjątkowo mocno. To dlatego na placu Zbawiciela, tak niedawno jeszcze, za czasów prezydent Hanny Gronkiewicz-Waltz, przed katolicką świątynią stała latami monstrualna tęcza a parady równości za chwilę będą tak samo wyuzdane, jak w Berlinie, bo trzeba przecież iść z duchem zboczeń i rewolucji obyczajowej.

Przyszłość miasta, w którym TW „Carex” dostał 219 tysięcy głosów a jego czerwoni i różowi – *nomen omen* – towarzysze dorzucili jeszcze do tej puli grubo ponad 300 tysięcy głosów, rysuje się w czarnych barwach. W tej sytuacji nie sposób marzyć o zburzeniu Pałacu Kultury i Nauki a tym bardziej o odtworzeniu przedwojennej zabudowy centrum miasta, zwanego kiedyś Paryżem Północy. Trzeba także uważać z innymi marzeniami i raczej odłożyć je na przyszłość. Na przykład, już za chwilę będziemy obchodzić 100. rocznicę zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej. Nie ma co liczyć, że przyjaciel gejów i lesbijek, obecny władca na stolicy, Rafał Trzaskowski zaproponuje postawienie na skrzyżowaniu alei „Solidarności” i ulicy Targowej Łuku Triumfalnego, upamiętniającego wiktorię nad czerwoną zarazą w sierpniu 1920 r. Po co narażać się wpływowemu Włodzimierzowi, który całe życie przecież podporządkował przyjaźni sowiecko-polskiej.

Nasza stolica stoi na rozdrożu polskich dziejów i straszy. Mało tego, wyraźnie widać, że z tą komunistyczną tradycją jest jej do twarzy. Wystarczy tylko popatrzeć na roześmiane lico wiceprezydenta miasta Pawła Rabieja. Trochę szkoda, że zlikwidowano Pomnik Braterstwa Broni. „Czterech śpiących” można jednak szybko obudzić i wszystko będzie tak, jak było!

A że Stefan Starzyński w grobie się przewraca? A czy ktoś jeszcze pamięta w tym mieście, kto to był Stefan Starzyński?

Warszawa, 31 maja 2019 r.

Tezy rozbiorowe

W Filharmonii Bałtyckiej im. Fryderyka Chopina w Gdańsku, w 30. rocznicę wyborów kontraktowych z 4 czerwca 1989 r., 800 samorządowców z całej Polski podpisało deklarację, znaną jako „21 Tez Samorządowych”. Gdański „samorządowy” rokosz wezwał do zastąpienia Senatu RP tzw. Izbą Samorządową, a także do likwidacji urzędu wojewody i do zniesienia kadencyjności organów JST. Wezwał też do strukturalnego ograniczenia roli ministerstw: finansów, edukacji, nauki, gospodarki, środowiska, zdrowia, rodziny, rolnictwa, sportu i spraw wewnętrznych, bo nad „bezpieczeństwem” mieszkańców powinny czuwać już tylko lokalne policje municypalne.

Z braku miejsca nie wymieniłem wszystkich żądań 800 rokoszan, ale wprost i między wierszami „21. Tez” aż roi się od zdradzieckich ciosów wymierzonych w Państwo Polskie. Zrealizowanie haseł tak daleko idącej decentralizacji oznaczałoby dla Polski rozbitcie dzielnicowe. Wizja kilku tysięcy gmin-państwerek, zarządzanych przez nieusuwalne kliki i stanowiących według lokalnego widzimisię lokalne prawa, z municypalną policją na każde zawołanie, otwiera wrota do realizacji najśmielszych conceptów neomarksistowskiej inżynierii społecznej. Dożywotni prezydenci: Aleksandra Dulkiwicz, Rafał Trzaskowski czy Jacek Jaśkowiak upowszechnią karty LGBT na taką skalę, że Gdańsk, Warszawa i Poznań zostaną wciągnięte na europejską listę dziedzictwa parad równości, a w szkołach zapanuje prawdziwa tolerancja i masturbacja. Prawa będą stanowione oddzielnie dla każdej gminy, a to oznacza, że wreszcie będzie można wprowadzić w życie wiekopomne hasła Jurka od WOŚP, głoszące, że „róbta, co chceta”. Bo budujemy nowy wspaniały świat a w tym świecie na pewno nie są nam potrzebne dwie rzeczy: tradycja narodowa i Kościół katolicki. Ten nowy wspaniały świat zawładnął już europejskimi umysłami wiele lat temu i odnosi sukcesy, bo świątynie katolickie w Europie świecą pustkami a tam, gdzie nie świecą, jak na przykład w Polsce, to Najjaśniejszą Panienkę splugawiono tęczową aureolą.

„21 Tez”, to dopiero przedsmak wydarzeń, których już niedługo będziemy świadkami. Bo sygnatariusze gdańskiego rokoszu obiecali, że 31 sierpnia 2019 r. przedstawią pakiet ustaw, które uświadomią „biomasie”, co to znaczy prawdziwie samorządna Rzeczypospolita. Na razie tę wiedzę posiadała tylko grupa 800 wybrańców, ale jak ci wybrańcy dostaną dożywotnie prawo do samorządowania i policję municypalną, której minister spraw wewnętrznych będzie „mógł skoczyć”, to wolność i szczęśliwość zapanują w Pcimiu Górnym i w Wądołach Dolnych.

A mnie się wydaje, że rokoszanami i ich „Tezami Samorządowymi”, powinna zająć się natychmiast Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Bo w Gdańsku podjęto na wielką skalę działania, zmierzające do zakwestionowania integralności, suwerenności i niepodległości Państwa Polskiego!

Polski samorząd terytorialny, to najbardziej skorumpowany sektor polskiego życia publicznego. Zaklinanie rzeczywistości, przy kolejnych obchodach rocznicowych, że reforma samorządowa z 1999 r., to najlepsze, co mogło Polskę spotkać na przełomie wieków, między bajki można włożyć. Gdański rokosz dowodzi, że wszystkie obecnie obowiązujące ustawy samorządowe trzeba już w następnej kadencji Sejmu RP wyrzucić do kosza i uchwalić nowe, zgodne z duchem polskiej tradycji narodowej. W przeciwnym razie Dulkiwicz, Trzaskowski i Jaśkowiak za pieniądze Georga Sorosa i jego bolszewickiej kamaryli zrobią to za nas.

Dr Jekyll i Mr Hyde

„Sąd Okręgowy w Warszawie skazał byłego szef KPRM Tomasza Arabskiego na 10 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na 2 lata za niedopełnienie obowiązków ws. organizacji lotu do Smoleńska z 10 kwietnia 2010 r.” – takie komunikaty obiegiły media po 13 czerwca 2019 r.

Tomasz Arabski zostałby prawdopodobnie uniewinniony, gdyby nie nagranie, zarejestrowane 24 listopada 2010 r. na posiedzeniu komisji Millera. Arabski powiedział wówczas tak:

„Ja to wszystko zacząłem odtwarzać (...) po 10 kwietnia. Zacząłem pytać, jak to chodzi i tak dalej... Mało tego – przeczytałem nawet instrukcję HEAD, której nie czytałem, jak ją podpisywałem. Yyyy...To się nagrywa, nie? (...) Tak, tak, ale mówię, że nie przeczytałem”.

Przypomnę, że instrukcja HEAD zabraniała lotów z VIP-ami na nieczynne lotniska, a lotnisko Siewiernyj w Smoleńsku miało w 2010 r. taki status. Na podstawie ww. instrukcji, Tomasz Arabski, jako szef KPRM, był koordynatorem tragicznego lotu do Smoleńska. Tomasz Arabski nie miał prawa wydać zezwolenia na ten konkretny lot na nieczynne sowieckie „pastwisko”.

Przy okazji zacytowanej powyżej treści nagrania wyszło na jaw, że jeden z najwyższych urzędników III RP, to zwykły ignorant, który nie czyta dokumentów przedłożonych do podpisu. W kraju nad Wisłą nie powinniśmy się temu dziwić! W państwie teoretycznym, teoretyczni urzędnicy, takimi szczegółami jak treść dokumentów raczej nie zaprzatają sobie głowy. I to jest jedna strona medalu. Bo „teoretyczny urzędnik” Tomasz Arabski, jak słynny dr Jekyll i Mr Hyde, z opowieści Roberta Stevenson, ma także drugie i to już zupełnie nie teoretyczne oblicze. I zanim o mrokach skrywających smoleńską misję Tomasza Arabskiego słów kilka skreślę, podzielę się spostrzeżeniem, że wyrok dla byłego szefa KPRM przypomina wyrok dla gangstera Ala Capone. Amerykańskiego mafiosa udało się bowiem osądzić nie za rozboje i zabójstwa na zlecenie tylko z powodu niezapłaconych podatków.

Tutaj podobnie. W polskim sądzie nie zgłębiono mrocznych kulis organizacji lotu 96 Polaków do Smoleńska. Arabskiego „złapano” na instrukcji HEAD, bo wypaplał, że jej nie przeczytał. Do dzisiaj natomiast nie wiadomo o czym rozmawiał „Mr Hyde” Arabski (w Warszawie 25 lutego 2010 r.) z Jurijem Uszakowem, zastępcą szefa kancelarii rządu Federacji Rosyjskiej i z Władimirem Grininem, ambasadorem FR w Polsce. Do dzisiaj także nie wiadomo o czym pan Tomasz rozmawiał zaraz potem (17 marca 2010 roku) w Moskwie w restauracji „U Doriana Greya” z tym samym Uszakowem i z wszechpotężnym Igorem Sieczinem, prawą ręką samego Władymira

Władymirowicza. Jeśli „U Doriana Greya” Arabski kazał odprawić tłumacza i zakazał przekazywać ambasadorowi Bahrowi szczegółów ustaleń, dotyczących lądowiska dla Tu 154M z prezydentem Kaczyńskim na pokładzie, to znaczy, że Arabski z Uszakowem i Sieczinem o polskiej instrukcji HEAD nie rozmawiali. Zresztą, jak mogli o niej rozmawiać skoro ani Arabski, a tym bardziej Uszakow i Sieczin, nie mieli pojęcia o treści tego dokumentu.

Wyrok, skazujący Tomasza Arabskiego, jest nieprawomocny. Były szef KPRM zapowiedział apelację! Nie chcę być złym prorokiem, ale coś mi się wydaje, że ten wyrok zostanie uchylony w II instancji. Bo rozmowie Arabskiego z Uszakowem i Sieczinem „U Doriana Greya” przysłuchiwał się, siedząc przy sąsiednim stoliku i popijając wódeczkę Beluga, niejaki „seryjny samobójca”. A potem z wiedzy, której stał się depozytariuszem, zrobił wielokrotnie użytek. Nie tylko w Polsce!

LE, 21 czerwca 2019 r.

Artykuł 231 kk

Miły Czytelniku, jeśli – nie daj Bóg – zostaniesz skrzywdzony w polskim urzędzie, porzuć nadzieję, że w Twojej obronie stanie prokurator. Na straży nietykalności polskich elit władzy stoi bowiem art. 231§1 kk. Ktoś niezorientowany w realiach polskiego prawa, po zapoznaniu się z treścią owego artykułu – zob.:

Funkcjonariusz publiczny, który, przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3,

zachnie się na moje słowa i zaprotestuje. Jakże to, przecież ten zapis jest całkowicie bezdyskusyjny. Ustawowo zdefiniowano pojęcia: „funkcjonariusz publiczny”, „interes publiczny” i „interes prywatny”. Najczęściej bez wysiłku można stwierdzić, na podstawie wytworzonych dokumentów, kiedy przekroczone urzędowe uprawnienia lub nie dopełniono obowiązków służbowych. Niestety, to są tylko ładne dekoracje. Bo w polskim kodeksie karnym słowo bardzo często nie odnosi się do swojego desygnatu, a to oznacza, że poczucie sprawiedliwości społecznej ze „sprawiedliwością” tropioną przez prokuratorów nie ma nic wspólnego. I żeby nie być gołosłownym przytoczę fragment autentycznego prokuratorowskiego postanowienia o odmowie wszczęcia śledztwa, które zapadło gdzieś w III RP:

(...) przestępstwo stypizowane w art. 231 §1kk jest przestępstwem, którego można dopuścić się wyłącznie z winy umyślnej. Brak tego elementu po stronie podmiotowej zachowania sprawcy dyskwalifikuje odpowiedzialność karną. Zaznaczyć należy, że dla bytu przestępstwa z art. 231 §1kk

konieczne jest wykazanie, że sprawca będący funkcjonariuszem publicznym działając umyślnie, przekroczył swoje uprawnienia, a zatem dokonał czynności, która w ogóle nie należała do zakresu jego działania lub czynności, która mieściła się co prawda w zakresie jego działania, ale do jej spełnienia nie było w określonej sytuacji podstaw faktycznych ani prawnych, albo też nie dopełnił obowiązków, czyli nie wykonał w ogóle bądź wykonał nienależycie czynności nakazane przepisami wynikające z istoty pełnionej funkcji, działając w ten sposób na szkodę interesu publicznego lub prywatnego. W omawianej sprawie nie sposób dopatrywać się w zachowaniu Burmistrza (...) oraz pracowników Urzędu Miejskiego w (...) umyślnego przekroczenia uprawnień oraz umyślnych zaniechań.

Jak widać podstawą wykładni prawnej art. 231 §1kk jest tzw. wina umyślna, a jej brak dyskwalifikuje odpowiedzialność karną. Artykuł 231 §1kk został tak skrojony, żeby żadnemu funkcjonariuszowi publicznemu włos w III RP z głowy nie spadł. Udowodnienie winy umyślnej, tzn. działania z premedytacją, bywa w praktyce niemożliwe. Nawet zamontowanie podsłuchów i kamer w urzędowych gabinetach nie przyniosłoby oczekiwanych efektów. Każdy przecież może się (niechcący) pomylić, a co dopiero polski urzędnik.

Jakiś obrońca III RP powie, że przecież obok art. 231 §1kk mamy art. 231 §3kk – zob.:

Jeżeli sprawca czynu określonego w §1 działa nieumyślnie i wyrządza istotną szkodę podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.

A polski prokurator odpowie wtedy tak:

W przedmiotowym przypadku istotnej szkody nie stwierdzono.

Czyli, jak nie kijem go, to pałką. Bo cóż to znaczy „istotna szkoda” – interpretacja zawsze będzie arbitralna.

Przypadek art. 231 kk, to tylko przyczynek do historii bezprawia, nad którym czuwa „niezależna” polska prokuratura w III RP, tymczasem pod baczna kuratelą „szeryfa” Zbigniewa Ziobry.

LE, 28 czerwca 2019 r.

Nie odbierajmy chwały generałowi Rozwadowskiemu!

Obchody zwycięstwa Rzeczypospolitej w 1920 r. nad bolszewicką zarazą zbliżają się wielkimi krokami. Już wiadomo, że w stolicy nie powstanie Łuk

Triumfalny, upamiętniający stulecie naszego zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej. Władze Warszawy od dawna sabotowały tę patriotyczną inicjatywę. Wielki orędownik idei Łuku Triumfalnego, satyryk Jan Pietrzak, zaproponował nawet w 2017 r., żeby wykiwać władze Warszawy i wybudować Łuk w nurtach Wisły. Budowla miałaby mieć 150-200 metrów. Wtedy o pozwoleniu na budowę nie decydowałby Ratusz, bo królowa polskich rzek nie znajduje się w jurysdykcji warszawskiego „samorządu”. Niestety, dzisiaj zapadła cisza nad tą inicjatywą. W przestrzeni publicznej niewiele na razie słychać na temat upamiętnienia bitwy, którą brytyjski polityk Edgar V. D’Abernon uznał za 18. najbardziej przełomowe starcie w historii świata. Być może uchwała Sejmu RP z 13 czerwca 2019 r. w sprawie ustanowienia roku 2020 **Rokiem Bitwy Warszawskiej** będzie forpocztą dla działań władz i organizacji społecznych w upamiętnieniu naszego zwycięstwa nad bolszewikami.

Zaczęło się jednak od falstartu i historycznego *faux pas*. W sejmowej uchwale napisano: „100 lat temu w dniach 13-15 sierpnia 1920 roku, na przedpolach Warszawy rozegrała się decydująca bitwa wojny polsko-bolszewickiej. (...) Wojsko Polskie na czele z marszałkiem Józefem Piłsudskim, wspieranym między innymi przez szefa sztabu generalnego – generała Tadeusza Jordan Rozwadowskiego obroniło niepodległość Polski”.

Ten fragment został gwałtownie oprotestowany w piśmie z 2 lipca 2019 r. do Marszałka Sejmu RP przez **Komitet Budowy Pomnika Generała Tadeusza Jordan Rozwadowskiego**. Komitet wezwał Sejm do usunięcia oczywistej nieprawdy z tekstu uchwały. Komitet, powołując się na źródła historyczne, przypomniał, że Józef Piłsudski, w dniach 13-15 sierpnia, nie wziął udziału w bitwie a od 12 sierpnia, po złożeniu na ręce premiera Witosa dymisji z funkcji państwowych, opuścił front i do 14 sierpnia przebywał w miejscowości Bobowa pod Gorlicami. Dopiero 15 sierpnia pojawił się w Puławach, ale w bitwie udziału nie wziął. Komitet przypomniał, że z rozkazu nr 10 000, czyli **Planu Bitwy Warszawskiej**, jednoznacznie wynika, że jego autorem był gen. Rozwadowski. Komitet napisał: „To Generał Tadeusz Rozwadowski podpisał ten Dokument a więc wydał ten rozkaz a do wiadomości i wykonania przyjęli go inni generałowie polscy i gen. Maxime Weygand oraz Józef Piłsudski. Zatem użyty w uzasadnieniu zwrot, że Bitwę wygrało „Wojsko Polskie na czele z Marszałkiem Piłsudskim” jest nieuzasadnionym nadużyciem, fałszem, krzywdzącym gen. Rozwadowskiego. (...) to wydarzenie miało miejsce jeszcze przed formalną dymisją Józefa Piłsudskiego, co świadczy o tym, że dowodzenie nad całością Polskiego Wojska już od lipca 1920 r. sprawował gen. Tadeusz Jordan Rozwadowski”.

Spór, o którym dzisiaj napisałem nie jest błahy. Rozumiem rozgoryczenie patriotów, skupionych w **Komitecie Budowy Pomnika Generała Tadeusza**

Rozwadowskiego. Przy okazji! Chwała Komitetowi za pomnikową inicjatywę! Nie mam wrażenia, że **Komitet** zamierza odebrać jakiegokolwiek historyczne zasługi Józefowi Piłsudskiemu, ale nie może być zgody na deprecjonowanie zasług gen. Rozwadowskiego i fałszowanie historii. Niewiele trzeba zmienić w uchwale Sejmu RP z 13 czerwca, ale trzeba to zrobić, bo po 100 latach od „Cudu nad Wisłą” należy się to pamięci uczestników tamtych wydarzeń a i nam współczesnym.

LE, 5 lipca 2019 r.

Rzeź Wołyńska

11 lipca obchodziliśmy Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa, którego dokonali ukraińscy nacjonaści, wywodzący się z takich zbrodniczych organizacji jak OUN, UPA czy SS-Galizien. Mord został dokonany na obywatelach II RP w większości na Polakach, ale także na Żydach, Ormianach, Czechach i przedstawicielach innych mniejszości narodowych. Święto związane jest z rocznicą wydarzeń z 11 i 12 lipca 1943 r., kiedy UPA dokonała skoordynowanego ataku na polskich mieszkańców ok. 150 miejscowości w powiatach włodzimierskim, horochowskim, kowelskim i łuckim. Wykorzystano fakt gromadzenia się w niedzielę 11 lipca ludzi w kościołach. Dni 11 i 12 lipca 1943 r., to było krwawe preludium do masowych eksterminacji ludności polskiej na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Bestialskie mordy trwały nieprzerwanie do 1945 r. Nieznane są do dzisiaj dokładne rozmiary ukraińskiego ludobójstwa. Na pewno na Wołyniu zginęło 50-60 tysięcy ludzi. Na terenie Galicji Wschodniej, w obwodach lwowskim, tarnopolskim, stanisławowskim, a także na Lubelszczyźnie i Podkarpaciu mówi się o kolejnych 40-50 tysiącach ofiar.

Okrucieństwo zbrodni wołyńskiej poraża. Podpalano ludzi w kościołach, rozrywano ich końmi, obcinano piersi, języki i uszy. Kobietom w ciąży rozpruwano brzuchy, maleńkie dzieci nabijano na sztachety wyrwane z płotów. Siekiera, widły, piła i rzeźnicki nóż służyły jako narzędzia do najbardziej wyszukanych tortur. Przy rzezi wołyńskiej, katyński strzał w potylicę jawi się jako najbardziej humanitarny akt odebrania życia skazańcowi. Postawiłem kropkę i przeraziłem się tego porównania, bo dokonując gradacji bestialstwa wkraczamy na jakieś absolutnie odhumanizowane, nierzeczywiste tereny zagłady, która od czasu do czasu w historii puka do wrót. Zagłady materialnej i zagłady duchowej! Wiek XX dał nam tej zagłady próbkę niemal doskonałą w swojej przerażającej istocie!

Poeta Lech Makowiecki napisał niedawno, że „porównanie banderowców z UPA do zwierząt uwłacza tym ostatnim; żadne zwierzę nie zadaje swym ofiarom tyłu cierpień”.

A współczesna Ukraina buduje niestety tożsamość na banderowskiej tradycji. I miana bohaterów narodowych przyznaje bojowcom zbrodniczych organizacji OUN-UPA. W 2018 roku prezydent Andrzej Duda Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa uczcił samotnie, składając 11 lipca kwiaty na polach wołyńskich, uświęconych krwią pomordowanych Polaków. Tego samego dnia były prezydent Ukrainy Petr Poroszenko pojawił się w Sahryniu na Lubelszczyźnie, otoczony setką swoich rodaków, dzierżących w dłoniach narodowe ukraińskie symbole i celebrował obchody tragedii z 10 marca 1944 r., kiedy to oddziały BCh i AK spacyfikowały tę wioskę, głównie zasiedloną przez Ukraińców. Ta akcja, dodajmy, że odwetowa, polskiego podziemia w Sahryniu, w skali kompletnie nieporównywalna z rzezią wołyńską, rzeczywiście miała miejsce, ale jej rocznica przypada 10 marca. Na dodatek w Sahryniu stoją prawosławne krzyże a obok tablice informujące o tej tragedii. To nie Polska chce wymazać swoje nieliczne i incydentalne czarne plamy z historii. To Ukraina nie chce przyznać, że okrwawione siekiery, widły i rzeźnicze noże nie mogą być podstawą do budowania legendy i tożsamości niepodległego państwa. Poroszenko powinien był 11 lipca 2018 r. stać z Dudą na polach wołyńskich. Wolał wykonać antypolski gest w Sahryniu. I od tego czasu nic się nie zmieniło. Na takich warunkach mowy o pojednaniu polsko-ukraińskim nie będzie, bo być nie może.

LE, 12 lipca 2019 r.

Multi-kulti o rasistowskim spojrzeniu

Odbieranie dzieci rodzicom z byle powodu albo bez powodu staje się powoli w Europie zachodniej codziennością. Niemiecki Jugendamt i norweski Barnevernet, instytucje, które w teorii miały roztoczyć parasol ochronny nad delikatnymi z natury rzeczy sferami życia rodzinnego, w rzeczywistości stały się symbolem brutalnych represji socjalnych i prawnych wobec rodziny. Niektóre relacje medialne: reportaże i filmy dokumentalne na temat działalności Jugendamt i Barnevernet są wprost wstrząsające. Polscy emigranci cały czas donoszą o kolejnych odrażających aktach przemocy urzędników wobec dorosłych i nieletnich obywateli. I ta „socjalna zaraza” rozprzestrzenia się po liberalnej Europie z siłą tsunami. Jego fale zalewają także Szwecję.

Media obiegła niedawno wiadomość o ucieczce ze Szwecji do Polski Rosjanina Denisa Lisova i jego trzech córek. Denis z żoną i z córkami mieszkał w socjalistycznym (k)raju Trzech Koron od lat. Nieszczęśliwym zrzędzeniem losu żona Denisa popadła w zdrowotne tarapaty i trafiła do szpitala

psychiatrycznego. Szwedzki urząd opieki społecznej natychmiast odebrał dzieci Denisowi i umieścił je w rodzinie muzułmańskich imigrantów! Denis postanowił zabrać córki i w czasie przysługującego mu 6 godzinnego widzenia z dziećmi wsiadł na prom i popłynęli do Polski.

Niestety władze szwedzkie wpisały, w trybie ekspresowym, 12-letnią Sofią, 6-letnią Serafiną i 4-letnią Alisą, jako „zaginione”, do systemu informacyjnego Schengen i polska straż graniczna zatrzymała rodzinę Lisovów w Warszawie. Szwedzi potraktowali Denisa Lisova jak pospolitego przestępcę, wydając za nim list gończy i europejski nakaz aresztowania. Na szczęście o Denisie Lisovie i jego kłopotach dowiedziała się fundacja Instytut na Rzecz Kultury Prawnej *Ordo Juris*. I dzięki formalnej interwencji prawników fundacji Denis Lisov i jego córki nie zostali natychmiast deportowani do Szwecji.

Teraz decyzja należała już tylko do polskiego wymiaru sprawiedliwości. Fundacja *Ordo Juris* złożyła w sądzie wnioski o odmowę realizacji europejskiego nakazu aresztowania. Przedłożono dowody, że Szwecja naruszyła wielokrotnie Konwencję o Prawach Dziecka i Europejską Konwencję Praw Człowieka, a w szczególności pogwałciła prawo dzieci do zachowania własnej, chrześcijańskiej tożsamości kulturowej oraz prawo do ochrony życia rodzinnego. Wieści z polskiego sądu należy uznać za więcej niż krzepiące. Prezes fundacji *Ordo Juris* mec. Jerzy Kwaśniewski przekazał mi właśnie wiadomość, że kilkanaście dni temu sąd okręgowy w Warszawie w **precedensowym orzeczeniu odrzucił europejski nakaz aresztowania**, stwierdzając, że decyzje szwedzkich władz godziły w dobro dzieci Denisa Lisova. – **Pozbawiono je nie tylko tożsamości etnicznej, kulturowej i religijnej, ale przede wszystkim ciepła i miłości ojca** – cytował słowa sędziego mec. Jerzy Kwaśniewski.

Tym razem się udało. Niestety gehenna tysięcy ofiar Jugendamtów i Barnevernetów trwa. Problem jest bardzo poważny, bo nie chodzi tylko o bezduszość i głupotę urzędników. Polscy emigranci w Norwegii zwrócili uwagę, że socjalne instytucje „państwa wikingów” kradną słowiańskie dzieci, żeby uzupełnić niedostatki materiału genetycznego w społeczeństwie, które cierpi na niski przyrost naturalny i nadmiar kolorowych emigrantów. A do tego potrzebni są niebieskoocy blond Słowianie. Na neomarksistowski gwałt kulturowy na porwanych dzieciach nakłada się zatem także gwałt o *stricte* rasistowskiej wymowie.

LE, 19 lipca 2019 r.

Neokomunizm w natarciu

Rewolucja genderowa w Polsce rozwija skrzydła. Ideolodzy LGBT już całkowicie otwarcie i oficjalnie prowadzą wojnę z naszą tradycją i kulturą. Cel

jest jeden. Trzeba zniszczyć społeczeństwo i państwo zbudowane na fundamentach chrześcijańskiej aksjologii. Dekalog musi leć w gruzach. Pierwsze Przykazanie? To jakieś piramidalne bzdury; przecież „guru” Stephen Hawking powiedział, że Boga nie ma! Piąte Przykazanie powinno brzmieć: zabijaj, zabijaj nienarodzonych a także starców, chorych i ułomnych. Szóste Przykazanie? Precz z ograniczeniami. Przecież nastały „rządy żądy”. To seks jest najważniejszy a najlepiej w tym homoseksualnym lub kazirodczym nawet wydaniu; wchodzimy na wyższy stopień „wtajemniczenia libido”. Ósme Przykazanie nie może obowiązywać z jednego prostego powodu. Skoro Dekalog – my z sekty LGBT – uznaliśmy z definicji za mistyfikację, to wszyscy, którzy jeszcze przyznają się do systemu wartości „10 Przykazań” nie zasługują na jakikolwiek szacunek. Można ich wyśmiać, opluć i wtrącić do kazamatów zabobonnego ciemnogrodu. Oczywiście wtrącamy do tych lochów pod sztandarami powszechnej tolerancji i miłości spod tęczącej flagi.

Rewolucja genderowa w Polsce wyszła gremialnie na ulice. Przez polskie miasta przetaczają się kolejne „parady równości”. Zawodowi genderyści epatują bluźnierczymi hasłami i obscenicznymi gestami. Demokracja im sprzyja, a nawet hołubi, jakby nie zdając sobie sprawy, że przyzwolenie na „Sodomę i Gomorę” sprowadzi już tylko klęskę na naszą cywilizację. Ale moneta genderyzmu została rzucona. Awers tej monety mieni się tęczowymi performansami, które pokazują, jak ideolodzy LGBT wyobrażają sobie dewastację porządku społecznego, moralnego i kulturowego. Ten pstrokaty w obscena korowód ma w zamierzeniu znieczulić społeczne postawy. Ot, maszeruje sobie niegroźna a krzykliwa grupka zboczeńców i pożytecznych idiotów – pomyśli przypadkowy obserwator i machnie ręką. Moneta genderyzmu ma jednak swój mroczny rewers. Bo rewolucja genderowa trafiła w Polsce już na wokandy sądowe. A tego nie mamy prawa lekceważyć! Bo agentura LGBT w togach czuje się coraz pewniej!

„Naczelny Sąd Administracyjny w wyroku z 10 października 2018 r. nakazał przepisanie do polskich ksiąg aktu urodzenia, w którym jako rodzice widnieją dwie kobiety. **Otworzył tym samym prawną drogę do uznawania władzy rodzicielskiej dwóch osób tej samej płci.** Podobnie orzekł Wojewódzki Sąd Administracyjny w Krakowie 4 czerwca 2019 r. [A] Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie w wyroku z 8 stycznia 2019 r. stwierdził, że z art. 18 Konstytucji nie wynika zakaz rejestracji jako małżeństwa relacji dwóch mężczyzn”.

Jeśli te informacje nie postawią nas wszystkich na równe nogi a rządzącym nie uświadomią, że zagony LGBT wypowiedziały totalną wojnę rodzinie i instytucji małżeństwa, to już za 2-3 lata obudzimy się w państwie związków polimorficznych, tzn. całkowicie dowolnych związków homo-, bi- i transeksualnych, a godność rodziny zostanie ostatecznie podeptana!

Potrzebą chwili jest uszczelnienie polskiego prawa rodzinnego. Naszej suwerenności kulturowej musimy bronić wszędzie. Ona jest tak samo ważna jak suwerenność energetyczna czy militarna. „Parady równości”, jako niezgodne z polskim porządkiem prawnym, muszą być zakazane. Konwencja stambulska wypowiedziana. Musimy sobie uświadomić, że ideologia LGBT to jest neokomunizm. Dlatego szermowanie symbolami tej ideologii należy zatrzasnąć w kodeksie karnym.

LE, 26 lipca 2019 r.

Ania i jej Kotwica Polski Walczącej

Ania Smoleńska urodziła się 28 lutego 1920 r. Była córką profesora Politechniki Warszawskiej Kazimierza Smoleńskiego. W 1938 r. została absolwentką Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Warszawie i zaczęła studia z historii sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. I nigdy studiów nie ukończyła. Bo nagle okazało się, że od tych studiów ważniejsze były podziemne akcje małego sabotażu „Szarych Szeregów”, pomoc rodzinom więźniów Pawiaka i służba w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej. Ania była łączniczką Marii Straszewskiej, sekretarza redakcji „Biuletynu Informacyjnego”, centralnego organu prasowego BIP KG AK. „Biuletyn Informacyjny” był największym i najważniejszym pismem konspiracyjnym w okupowanej przez Niemców Polsce.

Rodzina Smoleńskich została aresztowana przez gestapo 3 listopada 1942 r. i osadzona na Pawiaku. Profesor Kazimierz Smoleński został rozstrzelany w Lesie Kabackim 13 maja 1943 r. Żona profesora – Eugenia, syn Stanisław z żoną Danutą i córki Janina i Ania zostali wywiezieni do Auschwitz. Eugenia Smoleńska, zginęła w Auschwitz 8 marca 1943 r. Żona Stanisława Smoleńskiego – Danuta, 13 stycznia 1943 r. Córki profesora: Janina, zginęła 12 marca 1943 r. a jej przyrodnia siostra Ania 19 marca 1943 r. Obóz przetrwał tylko Stanisław, który po wojnie wrócił do Warszawy, gdzie zmarł w 1986 r.

Na początku 1942 r. BIP KG AK ogłosiło konkurs na znak podziemnej organizacji Państwa Polskiego. Do konkursu zgłoszono 27 prac. I ostatecznie wygrała „Kotwica”, znak utworzony z połączenia liter „P” i „W”. Wspomniany już „Biuletyn Informacyjny” AK z 16 kwietnia 1942 r. donosił:

Już od miesiąca na murach Warszawy rysowany jest znak kotwicy. Rysunek kotwicy jest robiony tak, że jego górna część tworzy literę +P+, zaś część dolna - literę +W+. Pewna ilość napisów objaśnia, że znak kotwicy jest znakiem Polski Walczącej. (...) Nie umiemy wytłumaczyć popularności tego znaku (...) Być może działa tu chęć pokazania wrogowi, że mimo wszystko - nie złamał naszego ducha (...) Może na wyobraźnię „rysowników” działa symbolika kotwicy - znaku nadziei.

Kotwicę Polski Walczącej wymyśliła i zaprojektowała Ania Smoleńska. A Jej przyjaciele z konspiracji Tadeusz „Zośka” Zawadzki, Janek „Rudy” Bytnar czy Maciek Aleksy „Alek” Dawidowski i tysiące innych żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego zadbali, żeby Kotwica Polski Walczącej nie pozwoliła Polakom upaść na duchu. Ania Smoleńska, po wywiezieniu do Auschwitz, mogła już tylko, poprzez numer obozowy 26008, wytatuowany na przedramieniu, oczami duszy wspominać „Znak Nadziei”, który zaprojektowała.

Czytelnicy „Kuriera Ostrowskiego” na pewno już wiedzą dlaczego przypomniałem w dzisiejszym felietonie Anię Smoleńską, która idąc na spotkanie z Panem wpięła sobie z dumą we włosy Kotwicę Polski Walczącej. Dlatego wątku haniebnego znieważenie tego Znak, a także znieważenia pamięci Ani Smoleńskiej, martyrologii Jej rodziny i Narodu Polskiego przez pewnego kretyna z mandatem posła na sejm RP nie mam zamiaru dokładniej opisywać. Niestety jak się okazało wczoraj, tj. 1 sierpnia 2019 r., podczas obchodów 75. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, ten kretyn znalazł w Warszawie naśladowców. Kretynom i zboczeńcom chciałbym jednak przypomnieć, jeśli jeszcze rozumiecie po polsku, że „otaczanie Znak Polski Walczącej czcią i szacunkiem jest prawem i obowiązkiem każdego obywatela Rzeczypospolitej Polskiej”.

LE, 2 sierpnia 2019 r.

Polskie wesele

Nie tak dawno weseliłem się na rodzinnym weselu. Było nostalgicznie, wzruszająco i – jak to na weselu – bardzo wesoło. Po dwudziestu, trzydziestu latach spotkałem przy biesiadnym stole wielu dawnych znajomych i przyjaciół. I chociaż tę wiedzę posiadałem z plotek i wieści towarzyskich już dawna, bo ten i ów zawsze podzielił się ze mną swoimi i cudzymi okruchami życia, to przy weselnym stole, przy stakaniku okowity, zderzyłem się z polską emigracyjną rzeczywistością oko w oko.

Syn Ewy i Janka w Brukseli, dzieci Hani i Marka w Szwecji, dzieci Kasi i Andrzeja i w Kanadzie, dzieci Majki w Norwegii, dzieci Włodka za kołem polarnym, a Eli czy Jacka w Anglii, w Ameryce, a nawet w Australii. Wszyscy oni do [Polski](#) zaglądną rzadko albo wcale, najczęściej mają już swoje rodziny, na świat przychodzi kolejne wielkie (polskie i nie-polskie) pokolenie, ochrzczone często obco brzmiącymi imionami, a także, to też już nie może dziwić, o innym kolorze skóry. Hania, którą ostatni raz widziałem w 1984 roku, jak wsiadała na prom do Szwecji, powiedziała, że do [wnuka](#) mówi po polsku. A on patrzy na babcię zdziwiony, bo nic nie rozumie z tego obcego narzecza.

Co się stało z „naszą klasą”? – pytał kiedyś Jacek Karczmarski, ale przecież tutaj już nie o uczniów z „naszej klasy” chodzi, którzy rozpierzchli się po

świecie, ale o dzieci tych uczniów. Bo ta dzieciarnia powoli ginie z naszego polskiego horyzontu, rozmywa się w innych krajach i nacjach. Potomkowie emigrantów z „naszej klasy”, chcąc nie chcąc, wyrrywają, bo muszą, polskie korzenie, a tradycje matek i ojców odkreślają grubą kreską zapomnienia. Życie toczy się wartko, Polska coraz dalsza i już nawet nie za mgłą; trwa codzienna gonitwa, zawodowe apanaże, prestiżowe i zwykłe posady, pościg za dostatniejszym i coraz bardziej uporządkowanym życiem z tzw. perspektywami. Nie formułuję zarzutu, oj nie, to tylko smutne stwierdzenie faktu.

II wojna światowa zabrała nam tysiące, co ja mówię, miliony nienarodzonych. Pokolenie Kolumbów ginęło bezpotomnie. Bez wysiłku mogę sobie wyobrazić, że mój stryj, który poległ w wieku 26 lat w 1944 r., za Wolną i Niepodległą, na stacji kolejowej w Ryczowie nieopodal Oświęcimia, mógł naszą rodzinę wzmocnić obecnością siostr i braci stryjecznych. Tylko, że moje siostry i bracia stryjeczni nigdy się nie urodzili. A gdyby przyszli na świat, to dzisiaj przy weselnym stole mogło być nas nawet o kilkanaście istnień więcej! Przecież oni wszyscy byliby na tym weselu. A tu nic, pustka, cisza. Te pokolenia w ogóle się nie pojawiły. Nikt ich nie powołał do życia. A duchom nikt nie wysłał weselnych zaproszeń.

I tak sobie właśnie rozmyślałem na tym polskim, rodzinnym weselu. Nie dość, że w 1945 roku wkroczyliśmy w PRL z przetrąconym kręgosłupem i biologicznymi stratami, które, co było jasne, są nie do odrobienia, to kolejne emigracyjne fale końca lat 40. A potem lat 50., 60., 70., 80., 90. XX w. i pierwszych lat XXI w. bez przerwy osłabiały i osłabiają nas jako naród i społeczeństwo. Czasami aż dziw bierze, że jakoś trwamy i że próbujemy się bronić. Niekiedy dość heroicznie, jak ostatnio przed tęczą zarazą!

Zamordowanego pokolenia czasów czarnej i czerwonej pogardy nie wskresimy, ale „naszej klasy” Jacka Kaczmarskiego i jej potomków bardzo żal. Bo wiadomo już, że nie możemy liczyć na Wilhelma, Lucasa, Johna, Emmę, Ingrid..., rozsianych gdzieś po świecie i w innych narodach... chociaż mają oni papierach jakieś swojsko brzmiące nazwisko znad Wisły.

LE, 9 sierpnia 2019 r.